MARTA GRACZ

OPOWIEŚCI PO ŻYCIU

Rybnik 2012 / 2025

Spis treści

Przedmowa / 4

 Nowa Persefona /7

 Za zakrętem czeka los / 10

Droga / 20

 Atłasowa piżama / 25

 Telefon / 28

 Zachód słońca / 34

Przeznaczenie / 37

 Zniewolenie / 46

Próżność / 50

PRZEDMOWA AUTORKI

Wiara w życie pozagrobowe istnieje od zarania dziejów, począwszy od wierzeń starożytnych Greków i Rzymian,
a kończąc na współczesności. Według mitologii greckiej, zmarły po śmierci trafiał do krainy o nazwie Hades. Zanim jednak jego dusza dotarła do ziemi wiecznej, musiała zapłacić Charonowi – duchowi świata podziemnego, który przewoził zmarłych przez rzekę zapomnienia, Styks. W tym celu wkładano nieboszczykowi do ust monetę – jednego obola.

Z kolei starożytni Egipcjanie wierzyli, że człowiek po śmierci rozpada się na dwa pierwiastki: Ka – sobowtór ziemskiego ciała i Ba – duszę, przedstawianą jako ptak z wielką głową. Mumifikowano więc zwłoki, gdyż Ka potrzebowała po śmierci ciała.

Religie Wschodu głoszą, że dusza ludzka po śmierci może wcielić się w nowy byt fizyczny: ciało nowo narodzonego człowieka, zwierzęcia lub rośliny. Pogląd ten, zwany reinkarnacją, istnieje również w religiach afrykańskich.

Teorię reinkarnacji odrzuca jednak chrześcijaństwo, gdyż zgodnie ze swoją doktryną o zmartwychwstaniu Chrystusa, śmierć jest przejściem z doczesności do wieczności, a dusza zostaje zbawiona lub potępiona.

To, że umieramy, jest pewne, jednak życie po śmierci pozostaje wielką niewiadomą. Pytania o istnienie życia po życiu nurtują nas do tego stopnia, że prześcigamy się
w eksperymentach, które mogłyby dostarczyć jednoznacznych
i racjonalnych dowodów na istnienie życia pozagrobowego: EVP, seanse spirytystyczne, „ważenie duszy” czy fotografie, na których ktoś lub coś uwieczniło tajemnicze postacie.

Trudno uwierzyć w to, czego nie możemy przeżyć. I chociaż wiele osób doświadczyło śmierci klinicznej, nie można doznań tych potraktować jako odzwierciedlenia śmierci ostatecznej, bo mózg wciąż pozostaje aktywny. Być może – zgodnie z jedną
z teorii naukowych – owe doznania człowieka w chwili rzekomego przechodzenia na „tamten świat” to halucynacje
i zaburzenia postrzegania zmysłowego, wywołane spadkiem zawartości tlenu w mózgu.

A może jednak jest to przedsmak śmierci biologicznej, dany nam jako dowód istnienia życia pozagrobowego, by nie lękać się momentu nieodwracalnego stanu przemijania?

Nie odpowiemy na to pytanie ani dziś, ani jutro, chyba że owo jutro nigdy nie nadejdzie, a dziś stanie się bramą do zrozumienia zagadki śmierci.

„Opowieści po życiu” to moja osobista wizja życia pozagrobowego. Nie wiem, jak wygląda „tamten świat”, ale wierzę w to, że życie wieczne istnieje i jest konsekwencją tego wszystkiego, co robimy tu i teraz.

NOWA PERSEFONA
pamięci Sylwii Plath

Nie mogła zrozumieć. Podwójne "ja" rozdzierało na pół jej wrażliwą naturę. Zdradzona, nie myślała racjonalnie. Choć może nie sama zdrada była powodem decyzji. Śmierć, która towarzyszyła jej od zawsze, uśmiechała się zwycięsko. Dopięła swego. Narzuciła tempo, któremu ona, zbyt słaba, poddała się zbyt szybko.

Sylwia stanęła na niewielkim wzniesieniu, porośniętym zeschłą trawą. Cała dolina, w której się znajdowała, pokryta była obumarłą roślinnością. Słońce, schowane za horyzontem, nigdy nie wschodziło. W powietrzu unosił się zapach spalonej siarki. Miejsce bez Boga.

Czy wiedział, jak bardzo pragnęła cofnąć czas?

Gdzieś podświadomie, naiwnie wierzyła, że będzie mogła wrócić. Że odnajdzie lepsze "ja", które pozwoli jej wszystko zacząć od nowa. Zrozumieć przeszłość. Zapomnieć. Desperacko oddalała od siebie prawdę, że miejsce, na które sama siebie skazała, jest jej przeznaczone na wieczność.

Wciąż na nowo wertowała wszystko w pamięci, jakby obrazy przeszłości nakładały się na siebie warstwami. Każda sekunda końcowej sceny jej życia zabijała ją powtórnie. Dzieci pozostawione bez matki. Jak wersy — bez autora. Jak bezpańska Lady Łazarz.

Przeszłość stapiała się z teraźniejszością. Obrazy zlewały się w jedną całość. Jakby w jej umyśle wciąż wyświetlano film oglądany setki razy.

Kobieta, spoglądając w samotną przestrzeń przed sobą, powracała myślami do tych, których zostawiła na ziemi. Zastanawiała się, ile lat minęło od jej śmierci. Co robią teraz jej dzieci? Ted...

Czy rzeczywiście musi pozostać tu na wieczność? Czy świadomość nie powinna umrzeć wraz z ciałem? Byłoby łatwiej przetrwać po drugiej stronie.

Nagle krajobraz się zmienił. Pofałdowane zbocza doliny pokrył biały dywan śniegu. Metaliczny zapach siarki zastąpił chłodny powiew wiatru. Na niebie pojawiły się szaroniebieskie pierzyny obłoków.

W oddali zobaczyła grupkę bawiących się dzieci. Nie miały więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Towarzyszyły im okrzyki
i śmiech podczas lepienia bałwana. Jedno z dzieci oddaliło się od grupy. Skulone, kreśliło gałęzią znaki na śniegu. Sylwia podeszła bliżej. Dziecko miało na sobie brązowy kożuszek i białą czapkę, która wydała jej się znajoma. Dziewczynka podniosła głowę. Blade policzki, duże, niebieskie oczy, głęboko osadzone — przypominały jej odbicie w lustrze. Strzępy ciemnych włosów wystające spod czapki, która kiedyś należała do niej...

Sylwię ogarnęła radość. Ktoś musiał wysłuchać jej modlitw o drugą szansę. Pozwolił powrócić na ziemię, by spotkać ukochaną osobę, za którą tak bardzo tęskniła. Kiedy widziała Fridę ostatni raz, dziewczynka miała trzy lata.

— Frida? — szepnęła, zbliżając się do skulonej postaci. — Frida! — zawołała głośniej, już pewna, kogo widzi.

Ale dziewczynka nie odpowiedziała. Zafascynowana rysowaniem kształtów na śniegu, nie zauważyła kobiety stojącej obok. Twarz, którą znała tylko przez mgłę dziecięcych wspomnień, nie wzbudziła w niej reakcji.

Sylwia jeszcze kilka razy zawołała córkę po imieniu. Początkowo myślała, że Frida może rozpoznała ją i dlatego milczy — z żalem za to, że została opuszczona. Ale gdy Sylwia podeszła bliżej i dotknęła ramienia dziecka, zobaczyła, jak jej przezroczysta dłoń przenika przez materialne ciało dziewczynki.

...I wtedy dopiero zrozumiała, że nie pozwolono jej wrócić,
a jedynie obserwować…

za zakrętem czeka los

Czasem nieuchronne przeznaczenie przekazuje nam fragmenty swego scenariusza. Nie po to jednak, by można było go zmienić. Pozwala jedynie na przygotowanie się do scen, na stałe w nim zapisanych. Ostrzega, nie dając możliwości obrony, odwrócenia nieuchronnego biegu mających nastąpić zdarzeń. Żeby jednak dostrzec ostrzeżenia, przesłane nam przez autora scenariusza, zwanego przeznaczeniem, trzeba w niego uwierzyć. Bo los dba jedynie o tych, którzy nie wątpią w jego istnienie.

Anna nie wierzyła i wątpiła. Mówiła sama o sobie, że jest umiarkowaną pragmatyczką, która stąpa twardo po ziemi, pozwalając sobie na bujanie w obłokach, jedynie przy oglądaniu wenezuelskich seriali. Uważała, że wszystko co osiągnęła
w życiu, zawdzięcza tylko własnej pracy i uporowi. Zrządzenie losu, to pokarm życiowych nieudaczników. Nawet przez chwilę nie dopuszczała do siebie myśli, że coś lub ktoś mógłby przeszkodzić jej w realizacji zamierzeń. W swej zadufałości, nieraz ku przerażeniu bliskich, śmiała się nawet, że sama wyznaczy sobie dzień własnej śmierci...

Uśmiechnęła się smętnie, zerkając w lusterko. Zegar samochodowy na tablicy rozdzielczej, wskazywał siódmą pięć. Pociąg do Warszawy odjeżdżał o siódmej dwadzieścia osiem,
a miała do przejechania jeszcze dziesięć kilometrów oraz zaparkowanie samochodu u znajomych, od których do dworca było z jakieś pięć minut drogi na piechotę. Docisnęła głębiej pedał gazu. Tego dnia jezdnia była jednak dość śliska. Całą noc padał bowiem rzęsisty deszcz. Kobieta zerknęła na wskazówkę pomiaru prędkości, która dochodziła do 120 km/godz. *Dobrze przynajmniej, że jest pusto*, pomyślała. Od celu dzieliły ją jedynie trzy minuty. Ode tchnęła z ulgą, pewna, że zdąży na pociąg. Weszła w zakręt, dociskając mimowolnie gaz do dechy. Samochód zakręcił się i zjechał na przeciwległy pas ruchu. Anna uderzyła głową w kierownicę. Nagle na drodze pojawił się nadjeżdżający z naprzeciwka biały Opel Astra. Kierowca zajęty pisaniem SMSa za późno zauważył na swoim pasie Passata, wykonującego nagły manewr...

Kiedy Anna ocknęła się, usłyszała nad sobą głosy. Dwóch mężczyzn pochylało się nad nią, sprawdzając tętno. Krzyczeli do siebie albo też na siebie i wymownie gestykulowali. Kątem oka zauważyła blask kolorowych świateł, rozbłyskujących z dachów, radiowozu i karetki pogotowia. Chciała spojrzeć na zegarek, ale nie mogła się ruszyć. Oparta o kierownicę, próbowała się podnieść. Wydawało się jej, że jest strasznie ciężka i wszystko ją boli. Jednak to tylko złudzenie wywołane wypadkiem, kazało jej tak myśleć. W rzeczywistości czuła się taka lekka i... wolna. Nie zwracając uwagi na dwóch mężczyzn, wysiadła
z samochodu. Jej poczciwy, stary Volkswagen nie wyglądał dobrze, ale drugi samochód był w o wiele gorszym stanie. Podeszła do mężczyzny w policyjnej czapce. Ten jednak nie zwrócił na nią uwagi, podobnie zresztą jak pozostałe, krzątające się tam osoby. Jakby była niewidzialna. *Nic mi nie jest, czuję się dobrze*, powiedziała, a raczej chciała powiedzieć.
Z przerażeniem stwierdziła bowiem, że nie jest w stanie poruszać wargami.

Policjant podszedł do białego Opla Astry, a właściwie tego, co z niego pozostało. Miał stłuczoną, a raczej zmiażdżoną przednią maskę. Miejsce obok kierowcy było ściśnięte. Jeśli jechał z pasażerem, nie miał żadnych szans. Funkcjonariusz zwrócił się do młodego mężczyzny stojącego obok. Miał niewielkie rany na twarzy i unieruchomioną prawą rękę, najprawdopodobniej złamaną.

– Już mówiłem, że nagle samochód wjechał na mój pas. Chyba wpadł w poślizg, kręcił się. – Policjant z ponurym wyrazem twarzy zapisywał słowa mężczyzny.

– Rozmawiał pan przez komórkę? Młody kierowca spuścił głowę. Mógł skłamać, ale ekspertyza policji prędzej czy później dowiodłaby prawdy. Odwracając wzrok od funkcjonariusza, skinął w milczeniu głową. – Kobieta odeszła od mężczyzn. Ponownie spojrzała na swój samochód. Wolnym krokiem podeszła bliżej. Chodzenie nigdy wcześniej nie sprawiało jej takiej przyjemności. Zupełnie jakby płynęła nad ziemią, ledwie dotykając twardej nawierzchni. Z trudem przyszło jej zrozumienie obrazu, jaki zobaczyła przed sobą. W zgniecionym samochodzie, za pogiętą kierownicą, zbryzganą krwią
i odłamkami po tłuczonej przedniej szyby, zobaczyła siedzącą nieruchomo kobietę. Około trzydziestoparoletnią brunetkę
w czarnej, skórzanej kurtce. Kogoś bardzo jej przypomniała. Kogoś, kogo znała dobrze, bo codziennie patrzyła na jego odbicie w lustrze. W tej chwili jednak, ta osoba oddaliła się od niej. Stała się dla niej kimś obcym, choć z drugiej strony, bardzo bliskim, jakby ktoś podzielił ją na dwie połowy, które już nie mogą się połączyć. Chciała krzyknąć, ze wszystkich sił, donośnie
i rozpaczliwie, ale coś powstrzymywało ją przed tym, tłamsząc pragnienie uwięzione we wnętrzu.

Podbiegła do zgromadzonych gapiów, szarpiąc kilkoro
z nich za ramię. Jednak ci stali niewzruszeni, odczuwając po jej dotyku lekki podmuch wiatru, choć tego dnia było bezwietrznie. Zrozpaczona spróbowała jeszcze zwrócić uwagę młodej lekarki, wsiadającej do karetki. Tym razem nie musiała do niej podbiegać. Wy starczyło, że dostrzegła ją i pomyślała o tym, co chce zrobić, a natychmiast znalazła się obok niej. *Niech mnie pani wysłucha. Ja żyję, nie wiem, co mi jest, ale żyję!* Krzyczała,
a przynajmniej tak jej się wydawało. Jednak pani doktor, nie odwracając ani razu głowy w jej stronę, bez słowa wsiadła do karetki, ignorując ją równie dotkliwie, jak inni świadkowie zajścia.

Kiedy miejsce wypadku wreszcie opustoszało, Anna zrozumiała. Przysiadła na brudnym krawężniku i ukryła twarz
w dłoniach. Ludzie nie mogli jej zobaczyć, bo nie była już człowiekiem. Kobieta, którą zobaczyła w samochodzie, była jej materialną częścią, pozostawioną na ziemi, podczas, gdy jej duchowy człon patrzył na rzeczywistość z innego wymiaru.
Z wypadku nie uszła z życiem. Zginęła... W chwili, gdy najmniej się tego spodziewała. A przecież miała wybrać dzień swojej śmierci… Nie chciała odejść już teraz, tak po prostu, bez pożegnania, w wieku trzydziestu pięciu lat.

Siedziała na krawężniku kilka godzin, a przynajmniej tak jej się zdawało, bo czas przestał sprawować nad nią kontrolę.
Z trudem pogodziła się ze swoją śmiercią, ale czyż miała inne wyjście? Czasu nie da się cofnąć. Pozostaje jedynie pogodzenie się z jego upływem.

Annę zastanawiało, co dalej z nią się stanie. Czy otworzy się świetlisty tunel, o którym opowiadali świadkowie śmierci klinicznej, czy może nastanie nicość, która wessie ją do swej czarnej, bezkresnej otchłani, by dokonać ostatecznej zagłady jej ludzkiej egzystencji? Kto po nią przyjdzie, by przeprowadzić ją na drugą stronę, bo przecież musiał istnieć jakiś przewodnik po zaświatach. Dusza nie powinna chyba pozostać bez opieki. Ale właściwie, to kto powiedział, że nie? Czy po śmierci istnieje jakikolwiek przymus albo wybór?

– Pora iść. Usłyszała nagle obok, jakby w odpowiedzi na nurtujące ją pytania, niski, męski głos. Podniosła głowę. Mężczyzna ubrany w długą, jasną szatę stał obok i wyciągał do niej swoją szczupłą, białą dłoń. Jego nie ziemska uroda sprawiła, że kobieta na chwilę straciła głowę, wpatrując się w niego spojrzeniem pełnym rozmarzenia i zachwytu. Nie podnosząc się z miejsca, wyciągnęła rękę. Mężczyzna uśmiechnął się i już czubki ich palców miały się zetknąć, gdy nagle Anna uświadomiła sobie, że nie chce odejść z tego miejsca. Nie chce, bo tak na prawdę nie było żadnego wypadku, a tajemniczy mężczyzna był jedynie wytworem jej wyobraźni. Wszystko wokół było tylko koszmarnym snem, z którego zbudzi się i o wszystkim zapomni. Przed podróżą prawie zawsze miewała koszmarne sny.

– To nie dzieje się naprawdę. Pana tu nie ma, a ja śpię teraz w swoim łóżku – powiedziała głośno, choć tak naprawdę tylko jej się wydawało. Podobnie jak wcześniej, gdy zwracała się do policjanta i lekarki, przekazywała jedynie swoje myśli.

– Nie Anno, to nie jest sen – odparł mężczyzna. Musisz iść ze mną. – Jeśli wyobraźnia potrafi zadręczać, to jej własnej, zaczęło się to udawać.

– Co się ze mną dzieje? Przeklęte myśli nie chcą odejść...

– To wszystko minie. Dzieje się tak zawsze w kilka godzin po śmierci – mężczyzna najwyraźniej znał jej udręki. – Każdej duszy trudno zrozumieć, że już nie należy do ciała. A teraz chodź ze mną. Już czas. – Powtórnie wyciągnął do niej rękę, ale kobieta nadal uparcie siedziała na krawężniku. Bez względu na to, czy była świadkiem jawy czy snu, odczuwała potrzebę pozostania tam. Na tej drodze, w tym czasie, w takiej formie bytu. Nie miała pojęcia dlaczego.

– Muszę tu pozostać. Nie chcę iść z tobą. Muszę tu pozostać... – powtarzała, jakby zahipnotyzowana. Mężczyzna spuścił rękę i posmutniał. Uśmiech, który nie schodził z jego pięknej twarzy, zniknął bez powrotnie.

– Jeśli taka jest twoja wola... Muszę ją uszanować... Ale pamiętaj, że już nie będzie odwrotu. Zostaniesz tu na wieczność, zupełnie sama... – Anna skinęła głową. Wtedy wydawało jej się, że rozumie... Mężczyzna pochylił głowę w ukłonie i zaczął odchodzić. Szedł przed siebie, drogą, która nagle ukazała się oczom Anny. Im dalej uszedł, tym jego postać stawała się coraz mniejsza, aż stała się tylko małym punktem w oddali, który po chwili również zniknął.

Kobieta została sama. Myśli nadal zadręczały ją swym jednostajnym, pokrętnym majaczeniem, choć z czasem stonowały udrękę, zamęczając bardziej swoją obecnością niż przesłaniem.

Mijały miesiące, lata. Anna pogodziła się ze śmiercią
i nawet polubiła drogę, która zabrała jej życie. Poruszała się zawsze po tym samym odcinku drogi. Gdy chciała przekroczyć wyznaczone granice, tajemna siła zatrzymywała ją, nie pozwalając iść dalej. Kobieta nie zastanawiała się dlaczego. Jej myśli nieustannie krążyły wokół przeszłego życia i błędów, jakie w nim popełniła. Bardzo często wspominała też sam wypadek, zwłaszcza moment, w którym na zakręcie docisnęła pedał gazu. Wciąż nie mogła wytłumaczyć sobie, dlaczego tak postąpiła.

Któregoś dnia stanęła na chodniku i nieświadomie wyciągnęła rękę do przejeżdżającego samochodu. Ku jej zdziwieniu samochód zatrzymał się. Kierowca opuścił szybę
i zapytał, gdzie może ją podwieźć. Anna obejrzała się za siebie. Była niemal pewna, że kierowca zwraca się do kogoś stojącego obok. Jednak oprócz niej, nie było tam nikogo innego. Podała adres swego domu. Pomimo przekazu wy łącznie myślowego, kierowca zrozumiał i ruszył we wskazanym kierunku. Drogę przebyli w milczeniu. Annę dręczyły pytania dotyczące kierowcy i jego możliwości zobaczenia jej jako ducha. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Ukradkiem przyglądała się mężczyźnie prowadzącemu samochód, ale ten nie odwzajemnił spojrzenia. O nic ją też nie zapytał i sam z siebie nie podjął żadnego tematu.

Kiedy dojechali pod dom Anny, mężczyzna zatrzymał samochód, zaczekał, aż kobieta z niego wysiądzie, po czym życząc jej miłego dnia, odjechał. Anna nie wiedziała co dalej powinna zrobić. Była kompletnie zdezorientowana. Tysiące pytań mąciło jej wyobraźnię, wywołując strach i przerażenie. Dlaczego nagle mogła przekroczyć wyznaczone jej granice
i dotrzeć do domu? Czy wróciła do życia? Jak zareagują na jej widok bliscy?

Powoli i ostrożnie zbliżyła się do furtki swego dawnego ogrodzenia. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na klamce. Już wyobrażała sobie reakcję jej męża i dzieci, kiedy ją zobaczą. Zastanawiała się, jak teraz wyglądają. Ile lat minęło od dnia, kiedy ich opuściła? Nacisnęła klamkę, uśmiechając się. Ale wtedy, nieoczekiwanie jej dawny dom zniknął, podobnie jak furtka i płot, przed którym jeszcze przed chwilą stała. Anna na powrót znalazła się na drodze. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym wsiadła do samochodu nieznajomego kierowcy.

Wtedy zrozumiała.

Nie wróciła do życia. Wybrała to miejsce i ono stało się jej przeznaczeniem. Czasem stanie się widzialna dla niektórych ludzi, ale nigdy nie przekroczy granic, które sobie wyznaczyła. Za życia słyszała takie historie, ale nigdy nie przypuszczała, że stanie się ich bohaterką.

Zapragnęła wtedy ponownie zobaczyć mężczyznę w jasnej szacie. Jednak nie wiedziała, że po śmierci pojawia się tylko raz...

DROGA

– Zatem czym jest miłość? – zapytała Matylda. Mężczyzna o jasnych włosach, spojrzał w jej duże, błękitne oczy. Nie odwzajemniały spojrzenia. Kobieta patrzyła przed siebie,
w równo wyrośnięte źdźbła trawy, która rosła tu nieprzerwanie
i nie wymagała koszenia. Miała jasnozielony odcień.

– To wszystko na co patrzysz w tej chwili, jest miłością – odparł. Jego rozumowanie było proste i schematyczne. Właściwie odgórnie zakodowane. Nie potrafił odpowiadać inaczej, niż zostało mu to wpojone. Anioł nie rozmyślał. Wykonywał rozkazy, a właściwie, podświadomie wiedział, co powinien robić: służyć Bogu i pomagać człowiekowi. Nie powinien też przebywać w tej części wszechświata, ale kobieta w białej sukni, którą tu przyprowadził, nie pozwalała mu o sobie zapomnieć.

Mierząc ziemskim czasem, Samuel przybywał do czyśćca raz w tygodniu. Robił to w głębokiej tajemnicy. Gdyby jego zwierzchnik dowiedział się o tym, spotkałaby go surowa kara. Nieposłuszni aniołowie mieli swoje piekło. Jego wielkość nie była liczona ludzką miarą.

– Wiesz, że mówię o innej miłości. – Dziewczyna była jeszcze młoda. W chwili śmierci mogła mieć nie więcej, niż dwadzieścia lat. Ubrana była w długą, białą, zwiewną sukienkę. Włosy kręcone, jasne, opadały na ramiona. Mężczyzna siedzący obok, nie potrafił oderwać od niej oczu. Podczas każdej rozmowy z nią, odczuwał bliskość i ciepło, choć miłość między kobietą i mężczyzną była mu całkiem obca. Między aniołem
a człowiekiem zgoła niemożliwa.

– Nie znam innej, Matyldo. – Dziewczyna lubiła, gdy wymawiał jej imię. W jego ustach brzmiało miękko i dostojnie. Anioł znał dobrze historię jej ziemskiego życia. Choć poznał ją dopiero kilka dni przed jej przedwczesnym zakończeniem. Należał bowiem do aniołów śmierci, którzy przychodzą, by zabrać duszę człowieka i przeprowadzić ją na tamten świat. Dziewczyna nie przypuszczała, że tak wcześnie przyjdzie jej pożegnać się z ziemskim życiem. Nie dopuszczała myśli
o śmierci. Mając dwadzieścia lat, nie myśli się o takich sprawach...

W zaświatach, jej pokutą za pychę było rozpamiętywanie
o miłości, której znaczenia za swego krótkiego życia, nie zrozumiała. Znaczenia tej prawdziwej, którą ona sama mylnie utożsamiała ze związkiem czysto fizycznym.

– Nie myśl przez chwilę o niej... – powiedział Samuel, gdy ta po raz wtóry zadała mu to samo pytanie.

– Porozmawiajmy o czymś innym... – zaproponował. Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem. Przecież jedynie rozmowa o miłości przynosiła jej ulgę. Jak mógł tego nie wiedzieć? Niemożność rozpamiętywania o niej, stawała się katorgą nie do zniesienia.

– Nie potrafię – odparła. Na jej pięknej, kształtnej twarzy odmalowywał się wyraz smutku i cierpienia. Trudno było doszukać się tej beztroskiej radości, jaka towarzyszyła jej bezustannie w latach ziemskiego bytu. Anioł uśmiechnął się
z rozrzewnieniem. Przypomniał sobie moment, gdy spotkał ją po raz pierwszy – w ostatnich dniach jej ludzkiej egzystencji... Piękną dwudziestolatkę, której twarz zdobiła czołowe katalogi mody i pierwsze strony brukowych gazet. Jej płytkie myśli zaprzątały wówczas nowe trendy, gromadzone na koncie pieniądze i przystojni, młodzi mężczyźni, przewijający się przez drzwi jej sypialni. Przyjaciółki z dzieciństwa poszły w odstawkę, na kontakty z rodziną szkoda było drogocennego czasu. Prestiż zobowiązywał. Cena sławy była zbyt wysoka, by narażać ją na zbędne obciążenia z przeszłości...

Bycie aniołem śmierci to niewdzięczna rola. Zwłaszcza wtedy, gdy zbyt osobiście podchodzi się do wypełnianych obowiązków. Choć jemu nigdy wcześniej nie przydarzyło się coś podobnego. Jego dotychczasowe stosunki z ludźmi były bardzo chłodne i powierzchowne. Po prostu robił, co do niego należało. Tylko przez krótką chwilę pozwalał człowiekowi spojrzeć sobie w oczy. Czasem trzymał za rękę, chociaż zmarły i tak niczego nie odczuwał. Czynił tak zwykle w przypadku dzieci. Na łożu śmierci, wydawały się takie bezbronne... Żal było odbierać im zbyt krótkie życie. Dopiero Matylda stała się dla niego kimś bliższym, niż ludzką duszą, przechodzącą do kolejnego wymiaru. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, jeszcze nie widział w niej kobiety w białej sukni. I nie dlatego, że nie miała jej wtedy na sobie. Biała suknia, stała się dla niej symbolem dorosłości, którą przypadło jej przeżywać w zaświatach. Choć godziny spędzone w czyśćcu nie przydawały lat.

– Po prostu zamknij oczy i przestań myśleć o czymkolwiek – odparł wreszcie, po długiej chwili milczenia. Odruchowo chciał dotknąć jej dłoni, ale pozbawiona materialnej powłoki, rozpłynęła się w niebycie. Kiedy Matylda posłusznie przymknęła powieki, za sprawą anioła, znalazła się w innym miejscu. Zobaczyła pusty krajobraz z drogą nad urwiskiem, które otaczało ją z dwóch stron. Droga, która wydawała się nie mieć końca, kręta, nieutwardzona i opustoszała, pełna kamieni.

Niespodziewanie jednak pojawili się na niej ludzie. Nadchodzili z przeciwległej strony, z owego nieznanego końca, do którego prowadziła. Szli wyprostowani i uśmiechnięci. Gdy mijali dziewczynę i anioła, nie patrzyli w ich stronę, nie odezwali się ani jednym słowem. Matylda stała w milczeniu, przyglądając się wędrowcom. Zapragnęła wyruszyć do miejsca, z którego wracali, mając przeczucie, że właśnie tam znajdzie odpowiedź na dręczące ją pytanie. Jednak nieznana siła powstrzymała ją przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu. Niespodziewanie zniknęła też droga, a wraz z nią wędrowcy, których na niej zobaczyła. Otworzyła oczy. Nie chciała tego robić, ale mężczyzna siedzący obok, tak jej nakazał.

Przez chwilę siedzieli w zadumie, wsłuchani w ciszę, jaka nieustannie towarzyszyła temu miejscu.

– Zatem, czym jest miłość? – Tym razem Samuel przerwał milczenie, uprzedzając pytanie dziewczyny. Ta jednak
w odpowiedzi, tylko uśmiechnęła się, po raz pierwszy od chwili, w której przekroczyła granicę czasu.

ATŁASOWA PIŻAMA

Kiedy ksiądz Eduardo otworzył oczy, ze zdumieniem stwierdził, że nie leży we własnym łóżku. A przecież był pewien, że właśnie tam zasnął ubiegłej nocy.

Teraz spoczywał na nagim, skalnym cyplu, samotnie wyniesionym pośrodku bezkresnego oceanu. Wzburzone fale
z pianą na grzbietach szturmowały postrzępione zbocza, jakby usiłowały dosięgnąć człowieka siedzącego na szczycie. Eduardo podniósł się ostrożnie. Korona wzniesienia była płaska, lecz zbyt ciasna, by poruszać się swobodnie. Zaledwie kilka kroków dzieliło go od krawędzi przepaści. A dalej – tylko bezdenna woda.

Gdy spojrzał w dół, ujrzał własne życie. Mignęło mu przed oczami niczym taśma filmowa, przewinięta w przyspieszonym tempie: dzieciństwo w Paredes de Coura, prywatne szkoły, seminarium duchowne, wikariuszowskie posługi i wreszcie – upragniona parafia w R.

Czy to śmierć? A może tylko sen? Ale jeśli umarł, dlaczego nie ma tu innych ludzi? I dlaczego – właśnie ocean? Przecież nigdy go nie lubił. Ani oceanu, ani gór. Zresztą, rzadko wyjeżdżał. Wakacje spędzał na parafii, czuwając nad codziennością wspólnoty. Najwyżej kilka dni w roku gościł
u swojego wuja – biskupa Don Diega Capello. Odmówić mu nie wypadało. W Kościele relacje znaczyły więcej niż sumienie.

To dzięki nim zresztą trafił do R., zamożnej prowincji na południu Portugalii. Ludzie tam żyli z oliwek i fig. Ziemia była urodzajna, a parafian stać było na datki, co cieszyło kurialnych przełożonych.

Eduardo przetarł oczy, mając nadzieję, że zaraz się obudzi, że wszystko wróci na swoje miejsce. Ale nie – obrazy
z przeszłości wciąż przesuwały się przed jego oczyma, uparcie
i powoli, jakby nie chciały zniknąć. Mężczyzna znów usiadł. Brązowa, atłasowa piżama, którą miał na sobie, zwykle ziębiła go nawet pod grubą kołdrą. Teraz – nic. Pomimo chłodnego, pochmurnego dnia i bliskości oceanu, nie odczuwał zimna. Nie odczuwał nic.

I wtedy zrozumiał. To nie był sen. To była śmierć.

Od tamtej chwili minęły całe wieki – choć tylko na ziemi.
W miejscu, w którym przebywał Eduardo, czas ugrzązł jakby
w zawieszeniu. Dla niego trwał wciąż ten sam dzień – pierwszy dzień po śmierci.

Zajęcia Eduarda ograniczały się do stale powtarzających się czynności: siedzenie na skale i rozmyślanie o zakończonym, ziemskim życiu oraz poruszanie się na małej przestrzeni skalistego cypla. Proste, monotonne funkcjonowanie, któremu towarzyszyły nieustanne rozważania o przeszłości.

Myśli księdza zaprzątały jednak, nie tylko powracające wydarzenia z odległych lat. Najbardziej jednak dokuczała mu samotność. Wszechobecna, przerażająca, obezwładniająca.

A przecież sam głosił z ambony, że dusza, która za życia nie okazała miłosierdzia, zostaje po śmierci zupełnie sama...

TELEFON

Znalazła się na łące porośniętej wysoką trawą, w której trudno było się poruszać.

Nie było wydeptanych ścieżek, a półtorametrowe byliny tworzyły zieloną matnię, uniemożliwiającą swobodne przemieszczanie się. Dla siedmioletniej dziewczynki, mierzącej niewiele ponad metr, stanowiły poważną przeszkodę. Maja zaczęła przedzierać się na oślep. Krótkimi, drobnymi rączkami próbowała rozgarniać chaszcze, ale torowanie ścieżki szło jej bardzo opornie. Szorstkie, sztywne liście trudno było przerwać, a splecione rośliny tworzyły gęstą, zwartą siatkę, z którą nie radziłby sobie nawet dorosły.

Siedmiolatka dzielnie walczyła z krzewiną, lecz rozdzielenie kilku liści pozwalało jej przesunąć się zaledwie o kilkanaście centymetrów. Nie pamiętała niczego z ostatnich godzin swojego życia. Jedyny obraz, jaki pozostał w jej pamięci, to krowa pasąca się przy zagrodzie babci oraz mężczyzna w starej, zniszczonej, kraciastej marynarce. Na to wspomnienie bezgłośnie otworzyła usta i zacisnęła pięści.

Nie zdawała sobie sprawy, że nie żyje. Myślała, że to tylko sen, z którego zaraz się obudzi – w swoim łóżeczku, wśród znajomych rzeczy. Zmęczona walką z chaszczami
i przerażającymi obrazami, usiadła w miejscu, które wydało jej się najbardziej suche i przyjemne. Nakryła twarz rączkami
i zaczęła płakać. Oddałaby wszystko, by zobaczyć jeszcze raz rodziców albo babcię. Znaleźć się w swoim pokoju, przytulić Roksanę – ukochaną lalkę w białej, satynowej sukience uszytej przez ciocię Amelię. Albo włączyć bajkę, po prostu…

Nagle, przez rozchylone palce, dostrzegła jakąś postać – może zwierzę. Odsłoniła twarz i położyła ręce na kolanach. Trawy były zbyt wysokie, by dobrze widzieć. Wstała, ale nie dostrzegła już niczego. Postać zniknęła… albo była tylko wytworem jej wyobraźni. Mimo to czuła, że nie jest sama.

Gdy znów usiadła, tuż obok zaszeleściły zarośla. Po chwili wyskoczył z nich mały stworek – o nieokreślonym kształcie
i pochodzeniu. Dziewczynka zerwała się z miejsca, przestraszona. Zdołała cofnąć się tylko o kilka kroków. Stworek skulił się i spuścił długie, spiczaste uszy. Maja próbowała porównać go z jakąś znaną postacią z bajek – bezskutecznie. Uszy przypominały elfa, ale bulwiasty nos
i jasnobrązowa skóra już nie.

Nagle stworzenie jakby się ożywiło. Z nieśmiałego, skulonego „malca” przemieniło się w zwinnego łąkowego przewodnika. Chwyciło jej dłoń i pociągnęło przez gęstwiny, które zaczęły się przed nimi rozstępować. Biegli razem. Maja nie wiedziała dokąd ani po co. Trawy stawały się coraz rzadsze, aż w końcu całkowicie zniknęły. Ich miejsce zajęły domy – najpierw dwa, potem trzy, aż pojawiło się całe miasto. Stworek zatrzymał się i spojrzał na zdezorientowaną dziewczynkę. Kiedy wskazał jej jeden z budynków, posłusznie ruszyła w jego kierunku, rozglądając się po drodze.

Miasto nie przypominało tego, które znała. Stare szyldy chwiały się martwo na wietrze. Drzwi domów były otwarte. Oprócz niej i stworka nikogo tu nie było. Czuć było swąd spalenizny, jak po niedawnym pożarze, choć nigdzie nie unosił się dym.

Maja podeszła do zrujnowanego budynku z szyldem „Komisariat”. Umiała już czytać. Obok wejścia zauważyła telefon. Stworek nakazał jej zadzwonić…

Helena wypalała kolejnego papierosa.

Nie odchodziła od telefonu, czekając na wieści od policji. Komórka była cały czas podpięta do ładowarki – bała się, że padnie w najważniejszym momencie.

– Kochanie, musisz coś zjeść – powiedział cicho mężczyzna siedzący obok. – Mama przygotowała obiad.

– To jej wina – obruszyła się Helena. – Nie powinnam powierzać jej opiece Mai. Jest nieodpowiedzialna.

Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

– Przestań tak mówić – odparł spokojnie mąż. – Matka sama chodzi zapłakana. Zabroniła Mai oddalać się od domu.

Helena rzuciła na niego gniewne spojrzenie. Nigdy nie lubiła teściowej. Już tydzień po ślubie doszło między nimi do spięcia – matka męża zapisała mu gospodarstwo. Mietek cieszył się jak dziecko i postanowił od razu wyjechać. Helena była wściekła. Miała inne plany. Nienawidziła wsi. Uważała, że teściowa zrobiła to celowo – miała jeszcze dwoje dzieci, ale tylko najmłodszego dało się zatrzymać przy sobie.

Helena nie była sentymentalna. Dorastała w zimnym domu. Ojciec – milicjant, matka – naukowiec. Wiecznie nieobecni. Pozbawiona bliskości, w dorosłym życiu zachowywała dystans. Maja była bardziej związana z nianią niż z nią. Teraz, kiedy zniknęła, Helena myślała o tym, jak niewiele włożyła w jej wychowanie. Może, gdyby bardziej się starała…

Zaciągnęła się papierosem. Sygnał telefonu wyrwał ją
z zamyślenia. Razem z mężem rzucili się do słuchawki. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu Mietek ustąpił.

– Mamusia? – usłyszała znajomy, piskliwy głosik. Zgasiła papierosa. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Córeczko! Gdzie jesteś?! Martwimy się o ciebie! – zawołała, widząc kątem oka, że w drzwiach stanęła teściowa.

– Trawy, mamusiu. Ukrył mnie w trawach – usłyszała.

Zabrakło jej słów. Wzruszenie odebrało głos.

– Jakie trawy, kochanie? O czym ty mówisz? – zapytała, ale już nie dostała odpowiedzi. Z drugiej strony zaległa cisza.

Stworek odebrał słuchawkę. Nie pozwolił Mai mówić więcej. Wyprowadził ją z miasta, z powrotem na łąkę, po czym zniknął.

Dziewczynka znów została sama. Błądziła wśród chaszczy, w świecie pozbawionym pór dnia. Choć od wizyty w mieście minęło wiele godzin, wciąż było jasno. Niebo miało odcień ołówka – bez słońca, bez barw. Przypominało rysunek naszkicowany  ołówkiem. Jakby ktoś wykradł barwy i wyssał esencję życia. Tajemnicza istota nie pojawiła się już więcej. Maja zmęczona kręceniem się w kółko, usiadła w końcu w kłączach białego rdestu. Chciała zasnąć, ale sen nie nadchodził.

Po jakimś czasie jednak, zamiast niego, otworzył się przed nią świetlisty tunel, z którego wyłoniła się miniaturowa postać. Zaciekawiona, a zarazem przestraszona dziewczynka, wstała. Coraz większa postać powoli zbliżała się do niej. Maja, niepewnie zaczęła iść w jej kierunku.

Kiedy znalazła się wystarczająco blisko, rozpoznała
w postaci, mężczyznę bliskiego jej sercu. Wyglądał nieco inaczej niż w dniu, w którym widziała go po raz ostatni, ale bez wątpienia był jej zmarłym, ukochanym dziadkiem Bolkiem.

Dziewczynka ucieszyła się, kiedy wziął ją za rękę
i poprowadził w głąb świetlistego tunelu.

ZACHÓD SŁOŃCA

– Myślisz, że już znalazł sobie kogoś? – Wysoka, szczupła brunetka spojrzała na swoją starszą towarzyszkę. Ta stała obok, nieruchomo wpatrzona w zachodzące na horyzoncie słońce.

– Możliwe. Mężczyźni już tacy są. –

Obie kobiety ubrane były na czarno. Ani fason sukien, ani żałobny kolor nie przypadły im do gustu. Jednak w życiu każdego człowieka nadchodzi moment, w którym wybory dokonują się poza jego wolą. Drętwe posłuszeństwo staje się wtedy koniecznością – jedyną i ostateczną.

– Czas tak szybko płynie. Wydaje mi się, że to było wczoraj… – Młodsza z kobiet najwyraźniej miała nastrój do rozmowy, ale starsza zbywała ją milczeniem lub krótkimi odpowiedziami.

– Takie życie. –

– Dlaczego po drugiej stronie zachodzące słońce wygląda inaczej… – Starsza z kobiet, Marta, wpatrywała się
w ciemnożółtą kulę chowającą się za linią horyzontu. Trzy lata temu to zjawisko oznaczało nadejście nocy. Po zachodzie przychodził świt – porządek był oczywisty. Teraz wszystko się zlewało. Nie było dnia. Ciemność, choć świetlista, naznaczała nieograniczony bezkres. Wędrówka trwała bez końca. Na odpoczynek nie wyznaczono czasu. Domniemany początek pieczołowicie zawiązywał supeł końca.

– Marta, czy ty mnie słuchasz? – zapytała Alberta, zniecierpliwiona milczeniem towarzyszki.

– Oczywiście – odparła smętnie starsza. Dawne kłamstwa zostały już rozliczone, a obecne nie obciążały sumienia. Wolne, mogły swobodnie nawiać nowe granice.

– Więc dlaczego nie odpowiadasz, kiedy cię o coś pytam?

Losy kobiet splotły się dopiero po życiu. Karma tak utorowała ścieżki, że mogły nimi podążać dopiero wolne od materialnych przeszkód. Zachodzące na siebie obawy przyczyn i skutków nawarstwiły się w zamierzone działanie.

– Zastanawiam się… – Marta odwróciła głowę w stronę Alberty, ale nie patrzyła na nią. Jej zamglone spojrzenie wnikało w przeszłość, która bezpowrotnie odeszła, nie pozostawiając nadziei.

– Znowu myślisz o nim? – Alberta bezradnie rozłożyła ręce. – Pomyśl o czymś przyjemniejszym. A jeśli nie potrafisz, to przynajmniej o kimś innym niż twój były mąż…

Jej pamięć była wolna od cielesnych obciążeń. Nie mogła zrozumieć współtowarzyszki. Zgodziła się przy niej być, ale nikt nie uprzedził jej o jarzmie, które Marta dźwigała.

– Nie potrafię – odparła Marta. – Odkąd się tutaj znalazłam, pamięć o tym… – zamilkła na chwilę, jakby to, co miała wypowiedzieć, sprawiało jej ból – co zrobiłam i dlaczego…

Ale przyczyna nie miała już znaczenia. Po przekroczeniu granicy materialnego bytu, motywy zacierają się. Podłoże staje się grząskie i niepewne.

Moralna próżnia.

Chwila, w której utraciła nadzieję, pozostawiła trwałe piętno w jej świadomości. Piętno, którego nie mogła wymazać.

– Nie rozumiesz… – powiedziała po chwili. Tym razem jednak popatrzyła na stojącą obok kobietę. – Gdybym tylko mogła cofnąć czas...

PRZEZNACZENIE

Co sprawia, że należymy do siebie od zawsze, na zawsze? Przeznaczona nam wieczność zbliża nasze myśli, działania, stając się znamiennym symbolem pojednania. Przeciwności przyciągają się, pomimo pozornie dzielących ich różnic. Bieguny, choćby najbardziej oddalone, znajdują środek zespolenia. Niepozorność nabiera wyrazistych kształtów... Lecz wystarczy chwila zwątpienia, zawahanie, pytanie: „czy warto?” I chwiejność przeważa szalę. Rozdziewiczone przeznaczenie traci sens. Jednostki oddalają się, a ich potem próbuje znaleźć rozwiązanie w przypadku, nie rozumiejąc, że on nie istnieje. Nic bowiem nie dzieje się bez przyczyny. Jego pierwotność, zrodzona
w niematerialnym bycie, staje się jedynym argumentem zbliżenia. Zatem: co musi się stać – nastanie, co nie powinno – przeminie...

Młoda kobieta, ubrana w długą, jasnobłękitną suknię, położyła się na krótko ściętej trawie, porastającej łagodny brzeg krętej rzeki. Mimo iż nie odczuwała chłodzącego dotyku roślinności, rozpostarła szeroko ramiona, zagłębiając jednocześnie ulotne ciało w fałdy zielonej murawy, jakby za wszelką cenę próbując poczuć jej miękkość. Przymknęła oczy, delektując się błogą ciszą... Miała na imię Sara. Liczyła lat około trzydziestu, a przynajmniej w tym wieku przekroczyła granicę śmierci. Jej dusza była jednak o wiele starsza, choć ona sama nie była świadoma owej starości. Obsesyjne pragnienie odnalezienia bliskiej osoby wymazywało inne tęsknoty. Myśli – okrojone do jednej, przewodniej – nie dopuszczały odrębnych. Ale dusza bliskiego jej za życia człowieka zaginęła za granicami zaświatów.

– Nie można bez końca oszukiwać przeznaczenia. – Głos, który nagle usłyszała, wydawał jej się znajomy. Otworzyła oczy. Tuż obok stał wysoki mężczyzna, ubrany w długą, białą szatę. Miał kształtną, raczej młodą jeszcze twarz, bez zmarszczek, choć włosy pokryte były już siwizną. Brzmienie barwy jego głosu wydawało jej się znajome, choć była pewna, że nigdy wcześniej go nie spotkała.

– Kim jesteś? – zapytała, lecz mężczyzna w odpowiedzi zadał kolejne pytanie.

– Myślisz, że człowiek ma prawo wyboru? Kobieta wzruszyła ramionami. Nie zrozumiała pytania.

– Spotkałaś przeznaczoną ci duszę aż cztery razy,
w kolejnych wcieleniach. Za każdym razem obdarzyłaś uczuciem, ale nigdy nie podjęłaś ostatecznej decyzji, od której zależała twoja przyszłość. Sara słuchała słów mężczyzny
w skupieniu, zdumiona ich bezpośredniością. Mężczyzna najwyraźniej znał dobrze jej doczesne życie. Kobieta próbowała wrócić wyobraźnią do swoich poprzednich wcieleń, ale jej pamięć, po przekroczeniu granicy życia i śmierci, została wymazana. Nie wiedziała, że tajemniczy mężczyzna posiadał moc przywracania wspomnień, jednak czynił to niezwykle rzadko, skrupulatnie wybierając dusze, którym odtwarzał przeszłość...

– Pierre, pojedź ze mną. Ucieknijmy razem, daleko stąd. – Stała przed nią młoda kobieta, ubrana w długą, płócienną suknię. Po jej bladych policzkach spływały łzy.

– Nie, Marie – odparła Sara. Znała imię kobiety, choć była przekonana, że widziała ją po raz pierwszy. Pamięć nie wróciła w pełni. Mężczyzna zezwolił na uwolnienie jedynie części odpowiedzialnej za emocje.

– Nie mogę. Złożyłem śluby. Moje miejsce jest za murami klasztoru. – Dziewczyna dotknęła jej policzka. Dopiero wtedy zrozumiała, że znajdowała się w ciele mężczyzny. Jej zbudzona z uśpienia wyobraźnia zaczęła zadawać pytania. Czy w życiu ważniejsze są zrodzone w bólu lub zachwycie uczucia, czy zasady ustalone na potrzeby przynależności do ogółu? Schematyczne rozwiązania, obejścia konfliktów i trudności, przynoszące najczęściej ulgę dla wszystkich poza jednostką, której dotyczą. Wewnętrzny spór o zasadność ich znaczenia spycha doznania emocjonalne na dalszy plan. Nakazuje dokonywać wyboru. Jego wynik podsyca oczekiwania karmy.

– Wiem, że złożyłeś przysięgę, ale tu chodzi o twoje życie. Pierre, proszę... – Targana sprzecznościami Sara zaprzeczyła. Zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji i konsekwencji wyboru, ale przyrzeczenie złożone Bogu było dla niej w tamtej chwili ważniejsze od miłości do kobiety. Jej oczy przysłoniła na krótką chwilę ciemność. Za sprawą tajemniczego mężczyzny przeniosła się do kolejnego wcielenia...

Była naga. Obok niej, również bez odzienia, leżał mężczyzna. Był sporo starszy od kobiety, jednak mimo dojrzałego wieku, jeszcze całkiem przystojny.

– Maurycy, co z twoim rozwodem? Mężczyzna, który leżał na plecach, odwrócił się twarzą do kobiety. Przez chwilę spoglądał w milczeniu na jej krągłe ciało. Potem dotknął dłonią nabrzmiałych piersi i przesunął palce w zagłębienie pomiędzy wzgórkami.

– Nie wiem, Klaro. Wiesz, w jakim stanie jest Maria, nie potrafię z nią teraz o tym rozmawiać. – Sara zobaczyła oczyma wyobraźni szczupłą blondynkę o dużych, niebieskich oczach. Gruźlica zaatakowała ją jeszcze we wczesnej młodości, nim poznała swego przyszłego męża. Sara nieraz zastanawiała się, dlaczego ją poślubił? Przysięgał, że nigdy jej nie kochał.

– Zawsze będę dla ciebie tylko zabawką. – Powiedziała cicho, jakby do siebie, jednak na tyle głośno, by leżący obok mężczyzna mógł usłyszeć te słowa.

– Nieprawda, Klaro. Wiesz, że cię kocham. Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak ciebie. – Przysunął się bliżej. Próbował pocałować jej pierś, ale kobieta odwróciła się do niego plecami. Wciąż słyszała zapewnienia o miłości, ale to jej nie wystarczało. Pragnęła czegoś więcej. Nie chciała dłużej być jedynie kochanką.

– To nie takie proste. Maria pewnie niedługo umrze, wiesz, w jakim jest stanie. – To, co mówił ukochany mężczyzna, przerażało ją. Choć z drugiej strony było przecież prawdziwe
i szczere.

– A jeśli stanie się cud i wyzdrowieje? – zapytała. – Co wtedy stanie się z nami? – Mężczyzna zamilkł. To, że nagle wyzdrowieje ktoś z zaawansowaną gruźlicą, było równie nieprawdopodobne, jak to, że on pokocha inną kobietę.

– Wiem, że cuda się zdarzają i bardzo bym chciał, by Maria wyzdrowiała, ale dobrze wiesz, że tak się nie stanie. Pewnego dnia jej organizm nie wytrzyma dłużej cierpienia i wtedy będziemy mogli być już na zawsze razem. – Sara odwróciła głowę i spojrzała Maurycemu w oczy. Nagle wszystko wydało się takie proste... Czekanie, miłość, cierpliwość zlały się w jedną, nagłą decyzję, którą postanowiła oznajmić mężczyźnie swego życia.

– Wiesz co, Maurycy? Nie chcę dłużej czekać. Mam dosyć ciągłego ukrywania się i oszukiwania twojej żony, która już być może i tak domyśla się całej prawdy o nas.

– O czym ty mówisz? – zapytał zdziwiony mężczyzna. Podparł ciało na ręce. Jego nagie, owłosione mięśnie klatki piersiowej napięły się.

– To koniec, Maurycy. Między nami koniec. – Mężczyzna próbował coś powiedzieć, ale Sara znajdowała się już w innym miejscu i czasie...

Stała nad grobem. Wpatrzona w marmurową płytę, na której wyryto imię i nazwisko kobiety. W chwili śmierci miała zaledwie dwadzieścia lat. Sara czuła, że tym razem znów była mężczyzną, jak wtedy w lesie, gdy nazywano ją Pierre. Nie mogła przyjrzeć się swemu ubraniu, bo oczy, jak zahipnotyzowane, wpatrywały się w nagrobną płytę. Czuła, że straciła bliską osobę i powzięła decyzję ostateczną... Wiedziała, że nie może jej zmienić i za chwilę ją zrealizuje. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Była chwilą. Grób nie znajdował się na cmentarzu. Raczej na pustkowiu. Wokoło szemrały konary drzew, kołysane podmuchem zimnego wiatru. Na mogile zbierały się zeschłe liście. Najpewniej, porą roku, była jesień. Dopiero po dłuższej chwili Sara-mężczyzna wyczuła, że trzyma w ręku jakiś przedmiot. Oderwała wzrok od nagrobka. Przedmiotem był pistolet. Nie przypominał współczesnego. Zaokrąglona drewniana rękojeść świadczyła o przynależności do minionej epoki. Sara, jako kobieta, nie znała się na broni, lecz w ciele mężczyzny potrafiła określić, jaki typ pistoletu trzyma
w dłoni. Po chwili przyłożyła go do skroni i, nie spuszczając wzroku z nagrobnej płyty, nacisnęła spust. Poczuła tępy ból. Zaraz potem znalazła się w pokoju pełnym ludzi...

Siedzieli przy zastawionym suto stole. Tym razem tajemniczy mężczyzna sprawił, że Sara w pełni odzyskała pamięć. Doskonale wiedziała, kim była i gdzie się znajduje. To było jej ostatnie wcielenie, po którym przekroczyła granicę życia i śmierci. Wspomnienie dotyczyło urodzin jej ciotki Bernadetty. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata i po raz pierwszy odbyła długą rozmowę z mężczyzną, którego kochała.

– Dlaczego zostałeś księdzem? – zapytała, gdy znalazła się w ogrodzie razem z przystojnym mężczyzną około trzydziestki. Spojrzał na nią dużymi, brązowymi oczami. Sarę peszyło to spojrzenie. Nie ukrywał go nawet przed rodziną kobiety, dla której był przyjacielem.

– Poczułem powołanie... – odparł z wahaniem. Jeszcze pięć lat temu był tego pewien. Odkąd jednak poznał kobietę, stojącą przed nim, jego przekonanie co do służby bożej znacznie zmalało. Młoda kobieta nie była mu obojętna. Z każdym dniem coraz bardziej sobie to uświadamiał.

– Nigdy nie zwątpiłeś w to powołanie? Spodziewał się tego pytania. Jednak trudno mu było udzielić odpowiedzi. Nie potrafił kłamać. Zresztą w jego profesji rozmijanie się z prawdą było przecież niewskazane.

– Może... – westchnął. Sara pragnęła mężczyzny stojącego obok. Nie narzekała na brak powodzenia u płci przeciwnej, ale jak na ironię zapragnęła tego, kogo nie mogła mieć. Postanowiła wykorzystać sytuację i poznać prawdę, na którą od dawna czekała.

– Mógłbyś zrezygnować z kapłaństwa? – zapytała. Mężczyzna powoli odwrócił głowę i spojrzał jej głęboko w oczy.
– Dla ciebie, Saro, mógłbym wszystko, lecz to nie takie proste… Co bym robił? Kim bym był? – zapytał, patrząc przed siebie
w niewidoczny punkt. Kim może zostać kapłan, który zrezygnował z kapłaństwa? Tym samym co kobieta, która go poślubi... – pomyśleli oboje, milknąc na wieczność.

– Adam powrócił... – powiedział mężczyzna w bieli, kiedy na powrót Sara znalazła się na brzegu rzeki.

– Dokąd? – zapytała. Na dźwięk imienia ukochanego mężczyzny drgnęła. Ile mogło minąć lat od ich ostatniego spotkania?

– Do kolejnego wcielenia – usłyszała odpowiedź. Spojrzała błagalnie na tajemniczą postać. Kim była: Bogiem, czy aniołem? A może fantomem zniecierpliwionego sumienia, które męczone, wyczekiwało upragnionego oczyszczenia?

– Czy ja też powrócę? – zapytała. Mężczyzna uśmiechnął się:

– To zależy od ciebie. Każdy człowiek ma wolną wolę... – odparł.

– Lecz jeśli powrócę, nie będę pamiętała poprzednich wcieleń. Znowu popełnię te same błędy... – Mężczyzna nie odpowiedział. Zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił.

ZNIEWOLENIE

Młody mężczyzna ubrany w zielony podkoszulek i wytarte jeansy zakładał czarny kask. Jego myśli nieustannie krążyły wokół koleżanki ze studiów, którą darzył nieodwzajemnionym uczuciem... Nie potrafił pogodzić się ani z jej obojętnością, ani ze związkiem ze starszym od niej mężczyzną – wykładowcą historii. Ondra wsiadł na swojego nowiutkiego VMAX-a. Kupił go specjalnie dla niej, by wywrzeć dobre wrażenie. Pamiętał dzień, w którym zajechał nim przed główne wejście uczelni. Jana siedziała na ławce. Jasne, kręcone włosy opadały na smukłe ramiona. Była nieprawdopodobnie piękną kobietą. Przynajmniej w jego zauroczonych oczach.

Obok nowiutkiego modelu Yamahy zebrał się tłum gapiów. Ondra z trudem odpowiadał na pytania ciekawskich, nie odrywając oczu od siedzącej nieopodal kobiety, która ani razu nie spojrzała w jego stronę. Kiedy w końcu uniosła głowę, a jej twarz wyraźnie poweselała, zrobiła to nie dla Ondry, lecz na widok starszego mężczyzny w szarej marynarce, który właśnie opuszczał budynek uczelni. Dziewczyna wstała z ławki
i pobiegła ku niemu, zarzucając dziecinnie ręce na jego szyję. Wyglądała jak mała córeczka, witająca wracającego z pracy tatusia. Przystojny czterdziestolatek o gładko zaczesanych, szpakowatych włosach uśmiechnął się wymownie. Posiadanie młodej, pięknej kochanki było niewątpliwie skutecznym lekiem na kryzys wieku średniego. Miło łechtało jego męską próżność i wzbudzało zazdrość kolegów.

Widok ukochanej kobiety w ramionach innego doprowadzał Ondrę do szaleństwa. Nie bacząc na otaczający go tłum, wsiadł na motocykl i z nieprawdopodobną prędkością pognał przed siebie, nie wyznaczając sobie żadnego celu. Jeździł wiele godzin, aż w końcu, daleko za miastem, zatrzymał się z wyczerpania.

Wciąż widział przed oczami jeden obraz, a myśli, jakby zatrzymane w kadrze, kłębiły się wokół jednego pytania: Czy miłość może być aż tak okrutna? Pytał o to wciąż od nowa,
i za każdym razem odpowiadał z tą samą bezradnością: Tak. Jego miłość była bez wątpienia okrutna. Powoli, ale nieuchronnie doprowadzała go na skraj wytrzymałości.
Z godziny na godzinę wypalała racjonalność, pustosząc świadomość, która wmawiała sobie, że życie bez pragnienia nie ma sensu. A kiedy wreszcie zrozumiał, że tęsknota nie zawsze zostaje zaspokojona – postanowił się unicestwić.

Ondra uruchomił motocykl. Kilkakrotnie przekręcił manetkę gazu. Był pewien decyzji, a jednak coś go powstrzymywało. Może chęć zobaczenia jej po raz ostatni? Ale przysiągł sobie, że tego nie zrobi. Nigdy więcej nie spojrzy na kobietę, która wzgardziła jego uczuciem. Puścił sprzęgło. Maszyna lekko uniosła się w górę – lubił ruszać w ten sposób, zwłaszcza gdy był obserwowany. Teraz nie było widzów – tylko on i jego ból.

Od celu dzieliły go trzy ulice. Mijał auta z lewej i z prawej strony, nie zważając na przepisy. Chciał dotrzeć jak najszybciej. Po raz pierwszy od dawna jego myśli wypełniała pustka. Nie było już obiektu pożądania, nie było pytań. Tylko pożegnanie tęsknoty, która miała wreszcie odejść.

Gdy objechał miasto i stanął naprzeciwko muru
z czerwonej cegły, otaczającego plac największego w mieście kościoła, zatrzymał się pośrodku jezdni. Przytrzymał sprzęgło i dodał gazu. Zaczekał, aż droga będzie pusta. Warkot silnika, klaksony, krzyki – wszystko zlało się w jedną kakofonię. Ondra jednak słyszał je coraz słabiej. Jakby się oddalał – choć nadal fizycznie tam był.

Ruszył z całą mocą...

Cisza przytłaczała. Syntetyczna, niemal bolesna, wwiercała się w zmysły, oddalając racjonalne zrozumienie. Na rękach ułożonych bezwładnie na kolanach nie było śladów wypadku. Kolana i twarz – nietknięte. Jeśli przeżył, powinien leżeć
w szpitalu. A jednak znajdował się gdzie indziej – na bezkresnym pustkowiu. Ziemia była jałowa, wypalona. Niebo – smętne, zachmurzone. Rozejrzał się, po czym przymknął oczy.

Co to za miejsce?

A może nic z tego się nie wydarzyło? Może pragnienie śmierci stworzyło tylko złudzenie końca?

Może potrzeba zapomnienia wygenerowała nową świadomość, jak próba zabicia tęsknoty, której nie sposób zabić.

– Ondra? – znajomy głos dotarł do niego z opóźnieniem. Myśli się rozstąpiły. Powrócił do rzeczywistości. Odwrócił głowę.

Jeśli to było piekło, ona musiała być demonem – zjawą, która przybrała twarz jego cierpienia. Pojawiła się, by go dręczyć. Czy to znaczyło, że naprawdę umarł?

– Co ty tutaj robisz? Gdzie ja jestem?! Co to za miejsce?! – wydawało mu się, że krzyczy, ale nie słyszał swojego głosu.

Kobieta przyglądała mu się z uwagą.

– Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś? – zapytała nieśmiało. Albo tylko poruszyła ustami.

PRÓŻNOŚĆ

Lucia usiadła na miękkim piasku. Zmęczyło ją chodzenie
w kółko. Spojrzała na bezchmurne niebo, pozbawione słońca. Miejsce, w którym przebywała, spowijał nieustanny mrok. Ziemia, po której stąpała, pokryta była słonym, suchym piaskiem. Kobieta tęskniła do słonecznej Toskanii, baśniowego krajobrazu smukłych cyprysów i winorośli porastających rozległe wzgórza okolic jej rodzimej Florencji. Dałaby wszystko, by znów tam być. Ogrzewać się w promieniach wiosennego słońca, obserwować budzącą się do życia przyrodę, podglądać ptaki ćwierkające na srebrzystych gałęziach drzewek oliwnych. Zawrócić tę wiosnę, która podcięła jej długie, zielone skrzydła nadziei, uśpiła wiarę w nowe, lepsze jutro.

W miejscu, w którym przebywała, czas stracił swoje prawa. Dziś, jutro i wczoraj zlewały się w jedno, stając się nękającym wspomnieniem przeszłości, która do nich doprowadziła. Pamięć, niczym węgielny kamień z wyrytą datą feralnego dnia, inicjowała początek, wciąż od nowa, przypominając starą winylową płytę, która zacinając się, odtwarzała ten sam fragment melodii.

Lucia pragnęła zmiany. Chciała pomyśleć o czymś innym, przyjemniejszym. Przywołać choćby wspomnienia szczęśliwych chwil swojego minionego życia, albo zastanowić się, dlaczego znajduje się właśnie w takim, a nie innym miejscu. Chciała, lecz nie mogła. Jej władza nad umysłem wygasła. Coś sprawowało kontrolę nad jej myślami i kazało jej przebywać na pustyni bez słońca. Nie mogła tego zmienić, a miało tak pozostać aż do końca wieczności, choć Lucia tego nie wiedziała.

– Czas pozwala nam umierać wiele razy… – Nareszcie przestała być sama. Pustkowie, którego panią się uważała, gościło jeszcze kogoś, choć na razie słyszała tylko głos. Przestraszona rozejrzała się wokół, ale nadal, oprócz niej, na pustyni zdawało się nie być nikogo innego. – Jego cudowną mocą jest wyzwalanie w pamięci wspomnień – głos, nie czekając na odpowiedź, przemawiał dalej.

Lucia rozglądała się wokół, zastanawiając się, skąd dobiegają obce myśli. Głosu, bowiem, tak naprawdę nie słyszała, a jedynie rozumiała sens wypowiedzi w swoich myślach.

– Chcesz mnie zobaczyć? Po co? – zapytał głos.

Kobieta wzruszyła ramionami. Dziwiła się, że nie potrafi odpowiedzieć na tak banalnie proste, z pozoru, pytanie. Po co pragnie zobaczyć rysy materii, czy innej duszy, jakkolwiek by nazwać niematerialną osobowość po drugiej stronie życia?

– Wy ludzie, zawsze przywiązujecie wagę do wizerunku. Wszystko musi być wyobrażalne, materialne, inaczej nie istnieje.

Dopiero teraz Lucia mogła zobaczyć istotę, której myśli słyszała. Był to mężczyzna: jasnowłosy, dobrze zbudowany. Miał na sobie ciemne ubranie i pelerynę z kapturem opuszczonym na plecy. Choć w tej części wszechświata uczucia nie miały znaczenia, mężczyzna spodobał się jej od pierwszej chwili. On także nie odrywał od niej wzroku, ale spojrzenie jego czarnych, jak węgiel oczu, niepasujących do aryjskiej urody, przerażało Lucię. Było dzikie i pożądliwe. Złe.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Kobieta speszona spuściła głowę. Na ten gest, typowy dla kobiet łaknących pochwał, mężczyzna wybuchnął śmiechem. Tak przerażającym i złowieszczym, że Lucia zatkała uszy, choć przecież nie dzięki nim go słyszała.

– Próżność ziemskich kobiet – prychnął, dodając z ironią: – Żałosne jesteście, wy, wszystkie Ewy...

– Kim jesteś? – zapytała kobieta, odchodząc od niego na bezpieczną, według niej, odległość.

– Myślisz, że jesteś w stanie ode mnie uciec? Że ktokolwiek jest? – Nim Lucia się spostrzegła, stał przy niej twarzą w twarz. I gdyby nie to, że oboje nie byli ludźmi, poczułaby jego oddech. Tymczasem pozbawione ciał materie przeniknęły przez siebie, zespalając się w jedną, bezcielesną masę.

Lucia nagle znalazła się w innym miejscu. Zobaczyła starszą kobietę, karcącą kilkuletnią dziewczynkę o długich, czarnych włosach. I choć nie padło ani jedno słowo, Lucia znała powód, dla którego owa kobieta dawała klapsa przestraszonemu dziecku. Doskonale zdawała sobie sprawę, że dziewczynka była nią samą w dzieciństwie, a zdarzenie miało miejsce zaraz po tym, jak wbrew zakazom babci wymknęła się
z domu, wraz z olbrzymim labradorem, Bonim. Biegła do winnicy wuja Alfreda, trzymając większego od siebie zwierzaka na krótkiej smyczy. Kiedy na polnej drodze pojawiła się furmanka, pies wyrwał się jej z rąk i wpadł prosto pod koła rozpędzonego wozu.

Lucia nie zdążyła jednak przypomnieć sobie wspomnień związanych z rozpaczą po psie, bo oto zobaczyła samochód pełen roześmianych, młodych ludzi. Za kierownicą siedziała dziewczyna w białym, słomkowym kapeluszu. Znała ją dobrze. Pamiętała, jak lubiła ten kapelusz. Dostała go na osiemnaste urodziny od swojej prababci Sofii. Dziewczyna starała się patrzeć na drogę, ale bardziej zaprzątał jej uwagę pasażer siedzący obok. Ciemnowłosy, przystojny chłopak, który wkładał rękę pod jej sukienkę. Dyskretnie, zmysłowo, by nie zauważyli pozostali pasażerowie. Chociaż samochód przeznaczony był do przewozu pięciu osób, zajmowało go aż siedem. Dwie kobiety „ponadplanowe” z tyłu usadowiły się na kolanach młodych mężczyzn. Wszyscy byli pod wpływem czerwonego wina, którego skosztowali w domu jednej z pasażerek. W stanie alkoholowego upojenia była także kobieta - kierowca. Samochód zjeżdżał pośpiesznie z wysokiej górki. Polna droga była pusta, ale nagle, jakby spod ziemi, wyrósł na niej starszy wieśniak,
z koszykiem winogron. Wyszedł z leśnych kniei, by przejść na skróty do pobliskich zagród. Jadący z nadmierną prędkością samochód zauważył go zbyt późno. Kierowca nie zdążył zahamować. Ciało starego wieśniaka poszybowało nad głowami, wciąż roześmianych pasażerów samochodu.

Znów jednak nie miała chwili czasu, by przypomnieć sobie następne wydarzenia związane z wypadkiem, bo znalazła się
w sypialni swych rodziców. Leżała naga w szerokim, stylowym łożu. Nie była sama. Obok siebie ujrzała mężczyznę,
z odsłoniętym, mocno owłosionym torsem i pokaźnym przyrodzeniem. Nie był już młodzieniaszkiem. Oboje z kobietą oddychali głęboko, zmęczeni po dopiero co odbytym stosunku. Kobieta dotknęła swoich nabrzmiałych piersi, zadowolona
z pełni ich kształtu. To zwłaszcza dzięki nim miała tak ogromne powodzenie u miejscowych mężczyzn, a inne kobiety
z zazdrością patrzyły na ich obfitość. Lucia uśmiechnęła się. Wspomnienie tamtych chwil było przyjemne. Doskonale pamiętała swojego najlepszego kochanka Gulia. Również to, że spotykając się z nim, zapominała o czekającej na niego w domu ciężarnej żonie i synach, którym odbierała ojca.

Jej twarz spochmurniała. Jednak jasnowłosy mężczyzna znowu nie pozwolił jej na rozpamiętywanie strzępów tamtej przeszłości. Z sypialni rodziców przeniósł jej świadomość do kuchni mieszkania na Via Monte Rosa w Mediolanie. Siedziała na podłodze obok gazowego piecyka, przyglądając się krwi wypływającej z podciętych na przegubach żył. Po odejściu narzeczonego, Sergia, nie widziała już sensu życia. Miała trzydzieści lat, niestabilną pracę. Wciąż nie była matką. Zrozumiała nagle, że mężczyźni widzieli w niej jedynie materiał na kochankę. Podziwiali jej kobiece kształty. Pragnęli jej ponętnego ciała, zapominając, że tak jak w każdej kobiecie, tkwi w niej potrzeba macierzyństwa. Chęć bycia szanowaną żoną i matką. A może traktowali ją tak, jak im na to pozwalała? Każdy ma przecież prawo wyboru, pokierowania własnym życiem w taki sposób, by albo wzbudzało w kimś szacunek, albo pogardę. Lucia pamiętała, że pod koniec życia dużo piła. Alkohol dawał ukojenie...

– Jak widzisz, całe życie należałaś do mnie, Lucio – powiedział mężczyzna w pelerynie, gdy znowu znalazła się z nim na pustkowiu. Tym razem usiadł na piasku, w sporej odległości od niej.

– Nie rozumiem... – odparła. Podejrzewała, kim jest, ale nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Nie mogła przecież upaść tak nisko. Nie była aż tak zła...

– Kim jesteś, na miłość boską?! – krzyknęła, choć jej usta pozostawały zamknięte.

– Nie przywołuj imienia kogoś, kogo tutaj nie ma i kogo nigdy nie było w twoim życiu.

Mężczyzna znowu znalazł się w bliskiej odległości. Stanął tuż za kobietą.

– Jestem czasem twojej wieczności. Przywyknij do mnie.

Po tych słowach zniknął, a Lucia znowu została sama. Bezwietrzne, ciemne niebo spoglądało na nią z ukosa.

Kobieta znów zaczęła kręcić się w kółko, nie zostawiając śladów na piasku, chociaż kilka odciśniętych stóp, prowadziło donikąd...

**Wszelkie prawa zastrzeżone.**Żaden fragment niniejszej publikacji nie może być kopiowany, przechowywany w systemach wyszukiwania informacji ani rozpowszechniany w jakiejkolwiek formie — elektronicznej, mechanicznej, kopiującej lub innej — bez pisemnej zgody autorki.

**Redakcja i projekt okładki:**Wydawnictwo Czarmagar

**Tekst w nowej redakcji autorskiej.**Pierwotna wersja ukazała się w 2012 roku.

© Czarmagar
Copyright by Marta Gracz
ISBN: 978-83-964519-4-1
Rybnik 2025
**E-book**